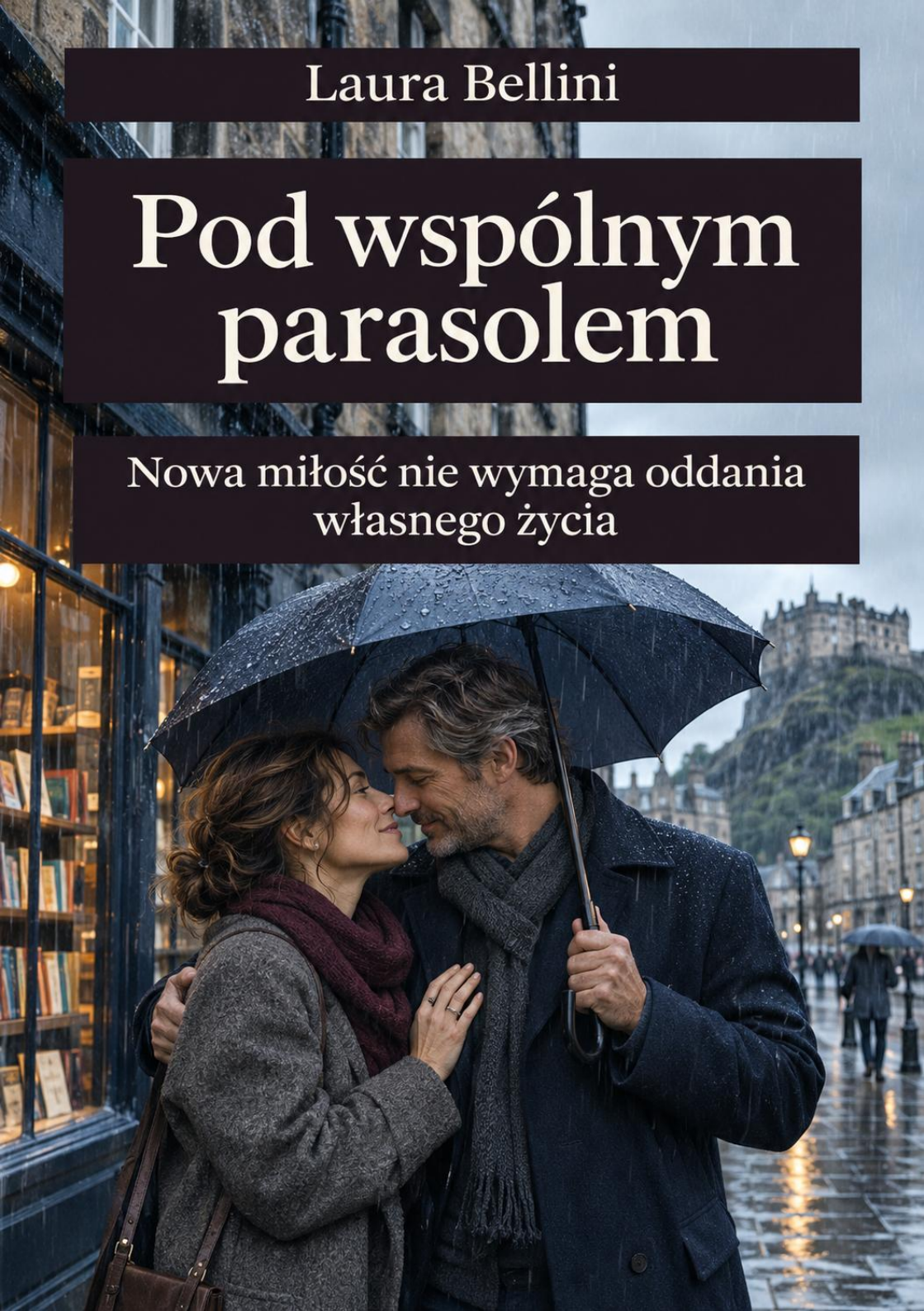
Laura Bellini

Pod wspólnym parasolem

Nowa miłość nie wymaga oddania własnego życia



Pod wspólnym parasolem

Nowa miłość nie wymaga oddania własnego życia

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900437

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie zapisano w umowie.....12
Rozdział 2 - Kawa bez zobowiązań..... 22
Rozdział 3 - Kiedy deszcz zmienia plany 34
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie widać na pierwszy rzut oka..... 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy..... 55
Rozdział 6 - Bliskość, na którą się zgadzamy 66
Rozdział 7 - Po drugiej stronie pocałunku 77
Rozdział 8 - Między półkami, poza zasadami 88
Rozdział 9 - Ryzyko, które podejmujemy razem 99
Rozdział 10 - Miejsce dla dwojga 110
Rozdział 11 - Poranek, który zmienił zasady 121
Rozdział 12 - Decyzja podjęta za mnie..... 131
Rozdział 13 - Cena cudzych decyzji.....140
Rozdział 14 - Prawda, którą trudno wypowiedzieć 150
Rozdział 15 - Granica, której nie wolno przekroczyć.....160
Rozdział 16 - Odległość, której potrzebujemy 171
Rozdział 17 - To, czego nie można zrobić za kogoś 181
Rozdział 18 - Nie wystarczy powiedzieć przepraszam 191
Rozdział 19 - Wybór, którego nikt nie może dokonać za nas 200
Rozdział 20 - Pod wspólnym parasolem 210

INTRO

Deszcz w Edynburgu miał szczególny talent do psucia planów, które człowiek uważał za doskonale przemyślane. Nie padał porządnie, nie dawał okazji do dramatycznego schronienia się pod daszkiem i przeczekania ulewy. Wnikał cierpliwie w kołnierz płaszcza, osiadał na rzęsach i sprawiał, że nawet najstaranniej ułożone włosy po kilku minutach zaczynały żyć własnym życiem. Tego czwartkowego popołudnia nie miałam jednak zamiaru pozwolić pogodzie zepsuć mi humoru. W lewej ręce trzymałam teczkę z projektami, w prawej granatowy parasol, a w głowie plan, który po raz pierwszy od wielu lat należał wyłącznie do mnie.

Miałam czterdzieści cztery lata, własną pracownię projektowania wnętrz i mieszkanie, w którym nikt nie przesuwał moich rzeczy, twierdząc, że w ten sposób będzie mi wygodniej. Od rozwodu minęły trzy lata. Wystarczająco dużo, żebym przestała odruchowo tłumaczyć się z każdej decyzji, i wciąż zbyt mało, bym zapomniała, ile kosztowało mnie odzyskanie zwyczajnego prawa do powiedzenia: tak właśnie chcę.

Tego dnia chciałam przede wszystkim podpisać umowę na remont niewielkiego lokalu przy jednej z bocznych uliczek Stockbridge. Miał powstać tam polsko-angielski klub książki, wymarzony przez moją znajomą, Martę Sokołowską. Dla niej było to przedsięwzięcie życia. Dla mnie szansa na stworzenie miejsca, z którego mogłam być dumna, i zdobycie kilku kolejnych zleceń w mieście, które powoli zaczynało przypominać dom.

Telefon zawibrował w kieszeni płaszcza.

- Beata, powiedz, że jesteś blisko - usłyszałam głos Marty, zanim zdążyłam się przywitać.

- Jestem blisko. Jeśli nie zmieniłaś lokalizacji od rana, za pięć minut będę na miejscu.

- Niczego nie zmieniłam. Tylko jest pewna komplikacja.

Zatrzymałam się przed przejściem dla pieszych.

- Jakiego rodzaju?

- Przyjechał Andrzej.

- Kto?

- Andrzej Bury. Właściciel księgarni, o której ci mówiłam. Obiecał pomóc z książkami, wydarzeniami i kontaktami z wydawcami.

Przypomniałam sobie mężczyznę z kilku wiadomości Marty. Polak, od lat mieszkający w Edynburgu, podobno człowiek znający każdą interesującą księgarnię w mieście. Dotąd nie miałam powodu się nim interesować.

- Świetnie. Im więcej ludzi do pomocy, tym lepiej.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

- On przywiózł własny pomysł na urządzenie przestrzeni.

Spojrzałam na teczkę, w której znajdowało się sześć tygodni pracy, trzy warianty aranżacji i wycena zatwierdzona przez Martę poprzedniego wieczoru.

- Rozumiem - powiedziałam powoli. - A czy twój znajomy jest projektantem wnętrz?

- Nie.

- W takim razie z przyjemnością wysłucham jego uwag.

Marta westchnęła.

- Właśnie tego się obawiam.

Rozłączyłam się, zanim zdążyła wyjaśnić, czego dokładnie. Na mokrym chodniku odbijały się ciepłe światła witryn. Minęłam niewielką kawiarnię, z której dochodził zapach świeżo mielonej kawy, i skręciłam w uliczkę prowadzącą do przyszłego klubu. Byłam przygotowana na trudną rozmowę z człowiekiem przekonanym, że wystarczy ustawić kilka regałów i kupić wygodne fotele, żeby stworzyć dobre wnętrze.

Nie byłam natomiast przygotowana na to, że kiedy stanę przed lokalem, zobaczę mężczyznę usiłującego jednocześnie utrzymać otwarte drzwi, uratować przemoknięty karton książek i osłonić starszą kobietę przed deszczem.

- Proszę wejść pierwsza - mówił spokojnie. - Karton już i tak przegrał tę bitwę.

Kobieta roześmiała się, przecisnęła przez drzwi i zniknęła w środku.

Mężczyzna postawił karton na suchym fragmencie chodnika. Miał ciemny płaszcz, nieco przyprószone siwizną włosy i twarz człowieka, który częściej się uśmiechał, niż pozował do zdjęć. Kiedy podniósł głowę, zauważyłam drobne zmarszczki przy jego oczach. Wyglądał na kogoś zbliżającego się do pięćdziesiątki, choć poruszał się z energią młodszego mężczyzny.

- Mogłaby mi pani pomóc? - zapytał.

Zerknęłam na karton.

- Zależy, czy będzie pan próbował przekonać mnie, że książki powinny stać alfabetycznie.

Przez chwilę patrzył na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

- To akurat zależy od tego, czy chcemy je sprzedawać, czy czytać.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Przejęłam od niego dwie paczki, podczas gdy on podniósł pozostałe pudło.

- A można robić jedno i drugie?

- Mam nadzieję. Od dwudziestu lat próbuję udowodnić, że tak.

Weszliśmy do środka.

Lokal pachniał wilgotnym tynkiem, starym drewnem i farbą, którą poprzedni najemca najwyraźniej nakładał bez większego przekonania. Dwa wysokie okna wychodziły na ulicę, a przy tylnej ścianie znajdowała się wnęka idealna na małą scenę do autorskich spotkań. W wyobraźni widziałam już ciepłe światło, miękkie siedziska i niskie regały, między którymi można było swobodnie przejść z filiżanką herbaty.

Marta wybiegła zza prowizorycznej lady.

- Beata! Jesteś! - Przytuliła mnie krótko, po czym odwróciła się do mojego towarzysza. - Widzę, że już się poznaliście.

Spojrzeliśmy na siebie.

- Jeszcze nie całkiem - powiedział.

- Beata Wolska, nasza projektantka. Andrzej Bury, właściciel księgarni.

Andrzej uniósł brwi.

- Czyli to pani odpowiada za plany, które mam podobno zrujnować?

- Jeszcze nie zdążył pan ich zobaczyć.

- W takim razie mam szansę zrobić to profesjonalnie.

Jego głos był niski, lekko zachrypnięty, a rozbawienie pozbawione złośliwości. Poczułam niechętną ciekawość. Nie wyglądał na człowieka, który koniecznie musi wygrać każdą rozmowę. Przynajmniej dopóki nie otworzyłam teczki.

Rozłożyłam rysunki na prowizorycznym stole. Marta stanęła obok mnie, wskazując palcem miejsce, w którym planowała prowadzić wieczory poetyckie. Andrzej przez dłuższą chwilę oglądał projekt bez słowa. Zamiast natychmiastowego komentarza obszedł lokal, zatrzymał się przy oknie i sprawdził odległość między ścianą a wnęką.

- To jest bardzo dobre - powiedział w końcu.

Byłam zaskoczona bardziej, niż chciałam pokazać.

- Dziękuję.

- Szczególnie ten otwarty środek. Ludzie muszą mieć gdzie rozmawiać, nie tylko siedzieć z książką. Ale tutaj... - Wskazał regały przy wejściu. - Chciałbym zaproponować zmianę.

- Słucham.

- Te regały powinny być wyższe. Możemy zmieścić dwukrotnie więcej książek.

- I zasłonić światło z okna.

- Można dołożyć oświetlenie.

- Można również zbudować ścianę z książek i przestać udawać, że projektujemy miejsce spotkań.

Marta wydała cichy dźwięk przypominający kaszlnięcie.

Andrzej spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział od razu. Podszedł ponownie do okna, zmierzył wzrokiem jego wysokość, a potem zerknął na plan.

- Ma pani rację co do światła - przyznał. - Ale to oznacza mniej miejsca na księgozbiór. A książki są powodem, dla którego ludzie tutaj przyjdą.

- Powodem, dla którego przyjdą pierwszy raz. To, czy zostaną, zależy również od tego, jak będą się tutaj czuli.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie nad rozłożonym projektem. Zauważyłam, że słucha uważnie, nawet gdy się nie zgadza. Było to znacznie bardziej niebezpieczne dla mojego spokoju niż jego całkiem przyjemny uśmiech.

- A gdyby regały były ruchome? - zapytał.

- Zależy od konstrukcji.

- Znam stolarza, który mógłby to zrobić.

- Najpierw musiałabym porozmawiać z nim o wymiarach i bezpieczeństwie.

- Mogę mu od razu wysłać rysunki.

Wyciągnął rękę w stronę teczki.

Przesunęłam ją odruchowo bliżej siebie.

Andrzej zatrzymał dłoń.

- Przepraszam - powiedział. - To pani projekt.

Nie było w jego głosie irytacji, tylko zrozumienie, które niespodziewanie wytrąciło mnie z równowagi. Przez moment widziałam w wyobraźni inną dłoń zabierającą mi dokumenty ze stołu, słyszałam znajome zdanie: „Załatwię to za ciebie, będzie szybciej". Dawniej wypowiadano je tak często, że w końcu przestałam zauważać, kiedy moje własne decyzje znikały pod cudzą troską.

- Właśnie - odpowiedziałam ciszej, niż zamierzałam.

Andrzej nie próbował rozładować sytuacji żartem. Cofnął się o krok i zwrócił do Marty, pytając o termin dostawy

kolejnych książek. Dał mi przestrzeń, a ja poczułam zaskakującą ochotę, żeby jednak zatrzymać go przy stole.

Po kilkunastu minutach Marta musiała wyjść po klucze do magazynku. Zostaliśmy sami. Za oknami deszcz zgęstniał, a w pustym wnętrzu słychać było stukanie kropli o metalowy parapet.

Andrzej włożył ręce do kieszeni płaszcza.

- Nie chciałem wchodzić pani w kompetencje.

- Wiem. Chociaż od propozycji do decyzji przeszedł pan dość sprawnie.

- Mam ten brzydki zwyczaj. Kiedy widzę problem, od razu szukam rozwiązania.

- Czasami warto sprawdzić, czy druga osoba w ogóle potrzebuje ratunku.

Spojrzał na mnie uważniej. Tym razem jego uśmiech zniknął, ale nie odwrócił wzroku.

- Postaram się to zapamiętać, pani Beato.

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, był niemal niepokojąco osobisty jak na kogoś, kogo znałam od niespełna godziny. Zebrałam rysunki, żeby zająć czymś ręce. Kiedy włożyłam ostatnią kartkę do teczki, zobaczyłam, że Andrzej podnosi z krzesła mój granatowy parasol.

- Chyba pani własność.

- Dziękuję.

Podał mi go, nie próbując otwierać ani decydować, czy powinnam już wychodzić.

- Mam jeszcze jedną propozycję - powiedział.

- Dotyczącą regałów?

- Nie. Kawy. Po drugiej stronie ulicy robią całkiem przyzwoite espresso. Moglibyśmy porozmawiać o tym, jak pomieścić książki, nie odbierając im światła.

Zerknęłam na zegarek. O osiemnastej miałam odebrać telefon od klientki, a później zamierzałam spędzić wieczór we własnym mieszkaniu, z kolacją i szkicownikiem. Ten plan nie przewidywał kawy z obcym mężczyzną. Zwłaszcza takim, którego obecność sprawiała, że nagle zaczynałam zwracać uwagę na drobiazgi: mokry kosmyk włosów przy skroni, cierpliwość ukrytą pod stanowczym tonem i sposób, w jaki czekał na odpowiedź.

- Dziś nie mogę - powiedziałam.

Andrzej skinął głową.

- W porządku.

Żadnego namawiania. Żadnego pytania, czy naprawdę jestem aż tak zajęta. Po prostu przyjął odpowiedź.

Powinnam była poczuć ulgę.

Zamiast tego, kiedy otworzył przede mną drzwi i na zewnątrz uderzył zapach mokrego kamienia, pomyślałam o kawie, na którą nie poszłam, i o mężczyźnie, który pozwolił mi odmówić.

Stałam przez chwilę pod granatowym parasolem, patrząc, jak Andrzej wraca do środka po książki.

Czy możliwe było, że właśnie zaczynałam pragnąć czyjejś obecności, choć dopiero nauczyłam się tak dobrze żyć bez niej?

Rozdział 1 - Warunki, których nie zapisano w umowie

W piątek rano obudziłam się z przekonaniem, że poprzedniego dnia popełniłam błąd. Nie chodziło o odmowę wspólnej kawy. W moim wieku człowiek miał prawo odmówić wszystkiego, od dodatkowego ciastka po romantyczne komplikacje. Problem polegał na tym, że przed zaśnięciem trzykrotnie przypomniałam sobie Andrzeja Burego, a dwa razy zastanawiałam się, czy jego zaproszenie było wyłącznie uprzejmością.

Żadna z tych myśli nie należała do mojego harmonogramu.

Przez ostatnie trzy lata zbudowałam życie, w którym przypadkowi mężczyźni nie zajmowali miejsca między poranną kawą a przeglądaniem dokumentacji technicznej. Miałam własnych klientów, regularnie opłacane rachunki, przyjaciół, a przede wszystkim możliwość podejmowania decyzji bez konsultowania ich z kimkolwiek. Nawet mój niedawno kupiony fotel, paskudnie drogi i nieprzyzwoicie wygodny, stał dokładnie tam, gdzie chciałam.

O dziewiątej zadzwoniła Marta.

- Beata, tylko proszę, nie denerwuj się.

- Tak nie zaczyna się rozmowy, która ma mnie uspokoić.

- Andrzej znalazł dostawcę regałów.

Odłożyłam filiżankę.

- Tych, które dopiero mieliśmy zaprojektować?

- Tak. To znaczy niezupełnie. On zna kogoś, kto mógłby je wykonać.

- Marta, wczoraj rozmawialiśmy o możliwości zmiany projektu, nie o zamawianiu mebli.

- Wiem. Dlatego chcę, żebyście spotkali się dzisiaj i wszystko ustalili.

Popatrzyłam na kalendarz. Przed południem miałam wizytę u klienta w New Town, później dwa telefony i godzinę przeznaczoną na poprawki kosztorysu. Mogłam znaleźć czas. Nie zamierzałam jednak udawać, że reorganizowanie dnia z powodu cudzego entuzjazmu jest moim ulubionym zajęciem.

- Przyjdę o szesnastej. Ale decyzje dotyczące projektu podejmujemy wspólnie, na podstawie ustaleń z tobą jako inwestorką.

- Oczywiście.

- I nikt niczego nie zamawia bez mojej wiedzy.

- Oczywiście.

Znałam Martę na tyle dobrze, żeby rozpoznać drugie „oczywiście" jako wyraz nadziei, nie gwarancję.

O szesnastej deszcz ponownie zamienił Edynburg w akwarelę. W lokalu przy bocznej ulicy Stockbridge paliły się tymczasowe lampy, a pod ścianą stało więcej kartonów niż poprzedniego dnia. Marta siedziała na parapecie z notesem, natomiast Andrzej klęczał przy jednej ze ścian, mierząc odległość od gniazdka elektrycznego.

Podniósł głowę, kiedy weszłam.

- Dzień dobry, pani Beato.

- Dzień dobry. Widzę, że ktoś tu lubi zaczynać bez projektanta.

Spojrzał na miarkę.

- Sprawdzam tylko, czy rzeczywistość zgadza się z rysunkami.

- Zwykle to rzeczywistość ma pierwszeństwo.

- Czyli jednak w czymś się zgadzamy.

Uśmiechnął się lekko, po czym wstał. Miał na sobie ciemne dżinsy i jasny sweter z podwiniętymi rękawami. Bez płaszcza wyglądał mniej oficjalnie, a zarazem bardziej interesująco. Nie był przesadnie przystojny w sposób, który lubią opisywać kolorowe magazyny. Miał natomiast twarz, na której doświadczenie zostawiło ślady, a nie odebrało jej wyrazu.

Marta zeskoczyła z parapetu.

- Dobrze, że jesteście. Musimy zdecydować, czy zmieniamy układ regałów, bo terminy zaczynają nas gonić.

Rozłożyłam plany na stole.

- Zanim przejdziemy do mebli, chciałabym wyjaśnić jedną rzecz. Mam podpisaną umowę na projekt wnętrza, nadzór nad wykonaniem i koordynację dostaw wyposażenia. Jeżeli zmieniamy zakres, potrzebuję wiedzieć, kto podejmuje ostateczne decyzje.

Andrzej oparł dłonie o krawędź stołu.

- Marta.

- Zgadza się - odpowiedziałam. - Ale ja odpowiadam zawodowo za bezpieczeństwo i funkcjonalność rozwiązań.

- A ja za książki, które mają się tam znaleźć.

Spojrzałam na niego.

- W takim razie możemy pracować razem, jeśli żadne z nas nie będzie udawało, że zna się na wszystkim.

- Uczciwy układ.

Przesunął w moją stronę kartkę ze szkicem. Przedstawiała regały na kółkach, które można było ustawiać w różnych konfiguracjach. Rysunek nie był techniczny, ale pokazywał znajomość przestrzeni. Andrzej nie próbował umieścić mebli wszędzie, gdzie znalazł wolny centymetr. Zostawił miejsce na spotkania, przejścia i czytelniczy kącik przy oknie.

- Pomysł nie jest zły - przyznałam.

- Spróbuję nie wyglądać na zbyt zadowolonego.

- Proszę się nie ograniczać. To rzadka okazja.

Marta roześmiała się i podeszła do ściany, przy której miała stanąć niewielka scena.

- Możecie przestać się pojedynkować przez pięć minut? Chciałabym wiedzieć, czy zdążymy przed otwarciem.

Otworzyłam kosztorys.

- Jeśli nie będzie opóźnień przy instalacji elektrycznej, tak. Ale na regały potrzebujemy konkretnej wyceny i dokumentacji.

Andrzej wskazał nazwisko zapisane pod szkicem.

- Stolarz, którego znam, pracował przy wyposażeniu mojej księgarni. Jest solidny, a terminy dotrzymuje.

- Nie znam go.

- Może pani poznać.

- I nie widziałam jego wyceny.

- Może pani ją dostać.

- W takim razie nie mamy jeszcze problemu.

Andrzej uśmiechnął się szerzej.

- Ma pani szczególny talent do zamieniania konfliktów w listę rzeczy do sprawdzenia.

- To część mojej pracy.

Przez kolejną godzinę omawialiśmy projekt. Andrzej wiedział, ile przestrzeni potrzebują ludzie, kiedy zaczynają przeglądać książki, jak szybko tworzy się kolejka przy stoliku z nowościami i dlaczego krzesła, które świetnie wyglądają na zdjęciu, po czterdziestu minutach spotkania autorskiego stają się narzędziem tortur.

Ja potrafiłam przełożyć te obserwacje na wymiary, materiały i koszty. W pewnym momencie zauważyłam, że przestaliśmy rywalizować, a zaczęliśmy kończyć nawzajem pomysły.

Nie spodobało mi się, jak naturalnie nam to wychodziło.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Andrzej, kiedy Marta wyszła odebrać telefon. - Chciałbym, żeby klub miał przynajmniej dwa wieczory w miesiącu poświęcone literaturze polskiej.

- Marta planowała spotkania dwujęzyczne.

- I słusznie. Ale ludzie, którzy przychodzą po książki w ojczystym języku, czasami szukają czegoś więcej. Chcą przez godzinę nie tłumaczyć samych siebie.

Przyjrzałam mu się uważniej.

- To dla pana ważne.

- Tak.

- Dlaczego?

Zawahał się, jakby nie spodziewał się pytania.

- Kiedy przyjechałem tutaj, znałem angielski wystarczająco dobrze, żeby pracować, ale za słabo, żeby

opowiedzieć komuś, za czym tęsknię. Książki były prostsze od ludzi.

Odpowiedział bez sentymentalizmu, niemal rzeczowo. Właśnie dlatego jego słowa zatrzymały mnie na dłużej.

- A teraz? - zapytałam.

- Teraz ludzie bywają bardziej interesujący.

Nie odwrócił wzroku. Poczułam, że nasza rozmowa przestała dotyczyć wyłącznie księgarni.

Marta wróciła z wiadomością, która szybko przywróciła nas do rzeczywistości. Właściciel budynku zapowiedział kontrolę instalacji przeciwpożarowej na następny tydzień. Jeśli układ mebli miał się zmienić, potrzebowała aktualnego planu.

- Mogę przygotować go do poniedziałku - powiedziałam.

- A ja zdobędę do tego czasu wstępną wycenę - dodał Andrzej.

- Bez składania zamówienia.

- Bez składania zamówienia - powtórzył, unosząc rękę w geście kapitulacji.

Marta spojrzała na nas z wyraźną ulgą.

- Wspaniale. Czyli mamy plan.

- Mamy warunkowy plan - poprawiłam.

Andrzej parsknął śmiechem.

Kiedy skończyliśmy, było już ciemno. Marta zamknęła tylne pomieszczenie i poszła do pobliskiego sklepu po coś do jedzenia, zostawiając nas samych przy stole. Zbierałam próbki materiałów, gdy Andrzej podsunął mi pustą teczkę, która leżała na drugim końcu blatu.

- Mogę? - zapytał, wskazując na moje rysunki.

- Może pan podać teczkę. Rysunki wolę ułożyć sama.

Zrobił dokładnie to, o co poprosiłam.

- Pani Beato, czy wszystkie rozmowy z panią przypominają negocjowanie traktatu pokojowego?

- Tylko te udane.

- W takim razie zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie pani ufają.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Komplement nie dotyczył mojego wyglądu ani zawodowego sukcesu, lecz cechy, którą przez wiele lat przedstawiano mi jako wadę. Upór. Potrzebę niezależności. Niechęć do powierzania komuś steru.

- Nie wszyscy - powiedziałam.

Andrzej odsunął krzesło.

- Byłbym zaskoczony, gdyby wszyscy.

Za oknem samochód przejechał przez kałużę, rozrzucając wodę na chodnik. Przyglądałam się przez chwilę refleksom świateł na mokrym bruku.

- Pan też lubi mieć ostatnie słowo - zauważyłam.

- Niestety. Przez kilkanaście lat prowadziłem księgarnię wspólnie z żoną. Po rozwodzie zostałem sam z firmą i przekonaniem, że jeśli wszystkiego nie dopilnuję, coś się zawali.

Była to pierwsza informacja o jego małżeństwie. Nie zapytałam o szczegóły, choć zaskoczyła mnie swoboda, z jaką wspomniał o rozwodzie.

- Rozumiem ten odruch - powiedziałam.

- Ale go pani nie pochwala.

- Nie zawsze.

Przyjął odpowiedź bez protestu.

- To będzie interesująca współpraca.

- Pod warunkiem że przetrwamy pierwszy tydzień.

Zaśmiał się, a ja odkryłam, że lubię wywoływać ten śmiech. Był ciepły, nieco chropawy i zupełnie pozbawiony ostrożnej uprzejmości, którą prezentował na początku spotkania.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, deszcz zamienił się w delikatną mgłę. Otworzyłam parasol. Andrzej stanął obok z rękami w kieszeniach i spojrzał w kierunku kawiarni.

- Nie będę ponawiał wczorajszego zaproszenia - powiedział.

- To dobrze.

- Ale gdyby kiedyś miała pani ochotę na kawę, oferta pozostaje aktualna.

- I nie ma terminu ważności?

- Książki mnie nauczyły, że niektóre rzeczy lepiej dojrzewają bez pośpiechu.

Było to zdanie niemal przesadnie romantyczne, wypowiedziane jednak z takim spokojem, że zamiast się roześmiać, przyjrzałam mu się uważniej.

- Dobranoc, panie Andrzeju.

- Dobranoc, pani Beato.

Ruszyłam w stronę głównej ulicy. Po kilkunastu krokach odwróciłam się odruchowo. Andrzej nadal stał przed wejściem, ale nie patrzył za mną. Sprawdzał telefon, najwyraźniej zajęty własnymi sprawami. Ta zwyczajność przyniosła mi niespodziewaną ulgę.

W domu usiadłam przy biurku i otworzyłam dokumentację projektu. Przez kilka minut poprawiałam rozmieszczenie regałów, uwzględniając jego uwagi. Potem zatrzymałam kursor nad nazwą pliku.

Mogłam łatwo przekonać samą siebie, że zainteresował mnie wyłącznie jego sposób myślenia o książkach. Że uważność, z jaką przyjmował moje argumenty, była po prostu dobrą podstawą współpracy.

Nie potrafiłam jednak zapomnieć momentu, w którym powiedział, że ludzie bywają bardziej interesujący.

Telefon rozświetlił się krótką wiadomością od nieznanego numeru.

„Marta przekazała mi pani kontakt do spraw projektu. Wycena będzie w poniedziałek. I obiecuję, że nie zamówię ani jednej półki bez zgody. Andrzej Bury".

Po chwili przyszła druga wiadomość.

„Nawet bardzo małej".

Roześmiałam się w pustym mieszkaniu.

Odpisałam dopiero po kilku minutach.

„Doceniam deklarację. Proszę pamiętać, że mam dobrą pamięć do takich obietnic".

Jego odpowiedź pojawiła się niemal natychmiast.

„W takim razie postaram się zasłużyć na jej przychylność".

Odłożyłam telefon ekranem do dołu.

Wcześniej sądziłam, że najtrudniejszą częścią nowego życia będzie nauczenie się samotności. Tymczasem zaczynałam podejrzewać, że znacznie trudniejsze może okazać się dopuszczenie do niego człowieka, który niczego

jeszcze ode mnie nie żądał, a mimo to zajmował w moich myślach coraz więcej miejsca.

Rozdział 2 - Kawa bez zobowiązań

W poniedziałek rano znalazłam na biurku trzy próbki drewna, dwie faktury do opłacenia i wiadomość od Andrzeja Burego. Nie powinno to robić na mnie żadnego wrażenia. Wiadomości od współpracowników dostawałam codziennie, a moja skrzynka pocztowa zwykle przypominała katalog cudzych pilnych potrzeb. Ta jednak zawierała coś, czego nie spodziewałam się po człowieku, z którym jeszcze niedawno spierałam się o wysokość regałów.

„Przesyłam wstępną wycenę i dane stolarza. Niczego nie uzgadniałem w pani imieniu. Może pani spokojnie sprawdzić szczegóły. A jeśli potrzebuje pani kawy, żeby przeżyć poniedziałek, znam sprawdzony sposób".

Pod wiadomością znajdował się plik z kosztorysem.

Przeczytałam go najpierw, zgodnie z zawodowym obowiązkiem. Ceny były rozsądne, terminy realne, a stolarz przewidział możliwość wykonania prototypu jednego modułu. W przeciwieństwie do wielu ofert, które otrzymywałam, dokument zawierał wszystkie informacje potrzebne do podjęcia decyzji.

Dopiero wtedy wróciłam do ostatniego zdania.

„Czy sprawdzony sposób obejmuje również pracę nad projektem?" - odpisałam.

Odpowiedź przyszła kilka minut później.

„Tym razem proponuję coś znacznie mniej niebezpiecznego. Kawę bez rysunków, kosztorysów i dyskusji o regałach".